

Fragmenty z „Wahre Geschichten“ J. Dornhofs
(opublikowane w latach 1960-tych)

Tłumaczenie z języka niemieckiego i redakcja
Stefan Bieniek

Przedwojenne zwyczaje weselne na wsi dobrodzieńskiej

Szkoda by było, gdyby piękne zwyczaje i obrzędy odeszły w zapomnienie, dlatego postaram się uchwycić to, co jeszcze o nich wiem. W toku modernizacji w ostatnich kilkudziesięciu latach zanikło kilka pięknych zwyczajów, ale większość Górnoślązaków, którzy pozostali w swojej ojczyźnie, czyli zdecydowana większość dwujęzycznej ludności wiejskiej, nadal trzyma się wielu tradycyjnych zwyczajów. Przede wszystkim należy zauważyć, że nie było potrzeby, aby rynek matrymonialny, ogłoszenia w gazetach lub inne profesjonalne swatki mogły być potrzebne. Najczęściej pary spotykały się na weselach, jarmarkach czy podobnych imprezach, w których razem brały udział. Ale zdarzało się też, że dzieci z sąsiedztwa, które znały się od wczesnego dzieciństwa, zawierały związki małżeńskie. Gdy młodzieniec – o ile uznano go za zdolnego do małżeństwa, a była to zdecydowana większość – wypełnił obowiązek służby wojskowej i miał zapewnione środki do życia, to narzeczeni uzgadniali dzień ślubu po naradach z rodzicami obu stron. Następnie, jak to jest do dziś zwyczajem i koniecznością, zarządzano zapowiedzi zarówno w gminie, jak i u duchownego. Ten ostatni wyznaczał jednocześnie termin nauk dla nowożeńców, które musieli przejść wszyscy kandydaci do małżeństwa. Ich wszystkich zebranych z całej parafii wzywano na te zajęcia na jedno niedzielne popołudnie. Dokładnie omawiano sprawy religijne i kościelne występujące w życiu rodzinnym. Zaproszenia na wesela, które urządzano w mieście lub w sąsiednich miejscowościach, były bez wyjątku ustne i opatrzone datami. Co najmniej na dwa tygodnie przed ślubem, nowożeńcy udawali się pojedynczo do wybranych przez siebie rodzin (w wyjątkowych przypadkach także pojedynczych osób) i entuzjastycznie zapraszali ich do udziału w zbliżającym się weselu. Zaproszeni początkowo wahali się, aż w końcu zgadzali się na udział. Czasami jednak nie wszyscy zaproszeni mogli przyjąć zaproszenia, bo mieli tego dnia inne zobowiązania, o czym szybko zawiadamiano. Dzień lub dwa przed ślubem panna młoda lub pan młody powinni byli ponownie odwiedzić swoich zamierzonych gości, aby się upewnić, że nic nie uległo zmianie. Wszystko trzeba było wziąć pod uwagę, aby uniknąć kłopotów w trakcie przygotowań. Między innymi należało wziąć pod uwagę liczbę potrzebnych pojazdów, ponieważ droga do kościoła była zwykle długa i uciążliwa, a we wsiach z kościołem tylko w nielicznych przypadkach można było ją pokonać pieszo.

Pierwsze, które musiały przystąpić do działania, były kucharki. Było to kilka obrotnych kobiet z kręgu krewnych lub znajomych domu weselnego, które musiały mieć doświadczenie przy wy-

pieku i w kuchni, aby właściwie wykorzystać zgromadzone zapasy i zaproszonym postawić na stole smaczne potrawy. W zależności od wielkości gospodarstwa zaproszone gospodynie przysyłały do domu weselnego konwie świeżego mleka, kilogramy dobrego masła i koszyki jajek jako swego rodzaju prezenty ślubne. Osoby dostarczające te prezenty otrzymywały koszyk z ciastami upieczonymi zawczasu jako próbkę do zabrania do domu. O mąkę pszenną zwykle troszczył się ojciec panny młodej. Podczas gdy kobiety krzątały się po kuchni i piekarni, rzeźnik był w innych pokojach zajęty przetwarzaniem zabitej świni.

W naszej gminie śluby kościelne odbywały się prawie tylko w poniedziałki. We wtorek tylko wtedy, gdy w danym tygodniu było zbyt wiele ślubów, a para młoda chciała mieć własną mszę ślubną. Wyjątki od tego były bardzo rzadkie.

Pan młody musiał na czas znaleźć orkiestrę dętą, ponieważ bez niej wiejskie wesele było nie do pomyslenia. Miejscem zbornym muzyków było mieszkanie pana młodego. Tam też spotykała się większość družbów. Poza parą młodą jednym z głównych bohaterów wiejskiego wesela był „starosta”, czyli wodzirej. Musiał być człowiekiem elokwentnym i czytany, gdyż wymagania stawiane mu w takie uroczystości były niemałe i różnorodne.

Po tym, jak zaproszeni przez pana młodego goście zebrali się u niego, zjadali tam śniadanie i wypijali „po jednym”. Na odświętnie udekorowanych stołach stały stopy ciast z kruszonką i duże rodzinne konewki z parującą kawą oraz filizanki na przemian z butelkami wódki i likieru. Z mężczyznami było to proste, bo pili zwykle jeden po drugim z jednego kieliszka. Własny kieliszek otrzymywały tylko wysoko postawione osobistości lub przyjezdni, podczas gdy swojska społeczność wznosiła toast z tego samego kieliszka.

W zależności od odległości do domu panny młodej, czyli właściwego domu weselnego, trzeba było wyjść odpowiednio wcześniej. Droga ta była w większości pokonywana konno i powozem. Po drodze trzeba było być przygotowanym na zablokowanie trasy. Był to żartobliwy zwyczaj zastępowania orszakowi weselnemu drogi drewnianym drążkiem, a podczas młócenia lub żniw – długim sznurem ze słomy, dopóki pan młody nie wykupił sobie przejazdu. Specjalnie przygotowane w tym celu butelki wódki zawsze zabierano ze sobą na to wykupienie. Kobiety i dziewczęta zabierały także pokrojone na kawałki ciasta weselne, które rozdawano na wzór rzucania słodyczami między widzów na przykład podczas poniedziałkowej parady przed Ostatkami w Kolonii (Rosenmontag).

Szybkim marszem orszak zbliżał się do domu weselnego. Dzień wcześniej družki ustawiały honorowe bramy z gałązek i z napisem „Witamy” lub podobnym pozdrowieniem. Na przybyłych, na których oczekiwała już znacznie liczniejsza grupa gości weselnych panny młodej, czekało obfite śniadanie.

Po przybyciu gości zbierały się też ostatnie pary družebne. Dokonano tego w ten sposób, że družka, która była jeszcze bez kawalera, spontanicznie podeszła do wybranego przez siebie młodzieńca i wierszem zapytała go, czy nie byłby skłonny, aby przypięła mu bukiet mirty, i jednocześnie prosiła go, aby był jej družbą podczas nadchodzącej uroczystości. Musiało się to zdarzać niezwykle rzadko, aby tak nagabywana młodzież odrzucała ofertę. W każdym razie autorowi, który był na wielu wiejskich weselach, nie jest znany taki przypadek. Wielokrotnie mirtowe pary były dobierane i uzgadniane z dużym wyprzedzeniem, ale i zdarzało się, że nieznanymi, którzy widzieli się po raz pierwszy, poznawali się przy tej okazji, a później stawali się parą małżeńską. Nawiasem mówiąc, słowo „pan družba” może oznaczać, że kawaler musiał tego dnia uhonorować swoją „pannę družkę”.

Po tym, jak wszyscy, którzy przybyli, aby świętować ten dzień, solidnie pokrzepili się jedzeniem i piciem, rolę swata zaczął pełnić „Starosta”. Taki rozważny swat był prawdziwym błogosławieństwem dla pana młodego po tych wszystkich męczących dniach, kiedy często po raz pierwszy odpowiadał za sprawne przeprowadzenie tak dużej imprezy, i któremu nie wolno było nic zjeść z przygotowanej stawy aż do zakończenia ceremonii ślubnej. Obaj podeszli teraz do

drzwi małego pokoju, w którym przebywała do tego czasu panna młoda i dwie inne kobiety oraz przedstawiciel płci męskiej, który pełnił rolę ojca panny młodej. Teraz starosta pukał do drzwi komnaty, które ojciec panny młodej tylko lekko uchylił. W przemyślanej, wierszowanej mowie swat wychwalał oblubienca, wyliczając jego liczne cnoty i przymioty, a jeśli taki posiadał, to także jego niemały majątek i prosił o uwolnienie oblubienicy, którą w tym domu wybrał. Teraz ojciec panny młodej wysyłał najpierw prawdziwego Kopciuszka z pytaniem, czy jest wybraną panną młodą. Oczywiście pan młody i swat odmawiali, domagając się ładniejszej dziewczyny. Ojciec panny młodej ponownie próbował pozbyć się starszej kobiety jako zalotnicy, co również było odrzucane z sugestią, że wybranka była znacznie młodsza i piękniejsza. Ojciec panny młodej przyznawał wtedy, że ma w domu „coś innego, coś nadzwyczajnego”, ale nie mógł pozbywać się swojego klejnotu bez odpowiedniego prezentu w zamian. Gdy druga strona dawała do zrozumienia, że mogą o tym porozmawiać, ojciec panny młodej wręczał talerz z mirtowym wiankiem panny młodej, a pan młody w zależności od swojej sytuacji materialnej wkładał pieniądze do wianka. Do pierwszej wojny światowej zwykle wrzucano sztukę złota lub przynajmniej srebrnego talara reńskiego.

Po zakończeniu tej ceremonii, gdy panna młoda nałożyła w komnacie wianek, ojciec panny młodej wyprowadzał ją za rękę z komnaty i uroczyście przekazywał panu młodemu z serdeczną przemową i wezwaniem, aby zawsze traktował ją, córkę zacnego domu, z godnością. W obliczu tego napomnienia i niepewnej przyszłości czy panny młodej prawie nigdy nie wysyłały, a inni uczestnicy często potajemnie ocierali łzy z oczu. Następnie swat w imieniu pana młodego obiecał, że zastосуje się do napomnień, po czym prosił rodziców obojga małżonków o błogosławieństwo dla młodej pary. Odbywało się to w ten sposób, że państwo młodzi klęczeli na podłodze, a ojciec i matka (lub w przypadku ich braku odpowiedni przedstawiciele) jeden po drugim kładli skrzyżowane ręce na głowie panny młodej i jednocześnie odmawiali pobożne błogosławieństwo.

Po tej uroczystości rozpoczęto spacer, a właściwie dojazd do kościoła. Do ostatnich kilku lat zwyczajem panny młodej było nie robić tego w tym samym pojeździe, którym jechał pan młody. Ale nowożeńcy szli razem do kościoła, gdy można było do niego dojść pieszo. Orkiestra dęta była zawsze na czele orszaku weselnego. Potem jechał powóz pana młodego z dwoma najbliższymi powiernikami – swatem i pierwszym drużbą, którzy zwykle występowali w kościele jako świadkowie. Następnie, w zależności od liczby krewnych i znajomych, jechała dostojna kolumna powozów, a na końcu zwykle powóz panny młodej. Z okazji wesela chłopskiego z Pludrach ok. lutego 1921 r. autor naliczył aż 22 powozy. Ponieważ nigdy nie brakowało alkoholu, nastrój na takich wyprawach weselnych był bardzo żywiołowy. Dęta muzyka sprawiała, że konie, udekorowane kolorowymi papierowymi kokardkami z nieskazitelnie wyczyszczonymi uprzężami itp., trwożyły się i szarpały. Czasami odbywały się wyścigi powozów.

Do I wojny światowej było w zwyczaju, że całe towarzystwo weselne, z wyjątkiem młodej pary, która do tej pory pościła i mogła zaspokoić głód dopiero w domu weselnym, szła zaraz po ślubie kościelnym na salę taneczną i tańczyła tam do około godziny 16–17. Z kuchni wysyłano posłańca, że uczta gotowa. Tymczasem nowożeńcy, uroczyście przyjęci przez muzykantów i szpaler drużebny, już dawno pojawili się na sali balowej i zajęli honorowe miejsce. U ich boku siedziała pierwsza para drużebna, wybrana z najbliższego kręgu młodej pary. Przy marszowej muzyce całe wesele wchodziło do domu weselnego w określonym marszowym porządku. Starsze pokolenie zawsze tworzyło tył tej procesji. Aby utworzyć wystarczającą liczbę miejsc siedzących, często ustawiano w cieplejszych miesiącach roku dodatkowe stoły i ławki na dziedzińcu i w ogrodzie lub w pustej i nieskazitelnie zamiecionej stodole, gdy padał deszcz. Po tym długim czasie z marszami wszyscy mieli duży apetyt, więc kucharki starały się nakarmić nawet najbardziej głodnych obfitą ucztą. Jeśli po przełomie wieków dominowały jeszcze proste domowe potrawy, do których obowiązkowo należała kiszona kapusta z groszkiem, to zmieniło się to bardzo wyraźnie wraz ze

wzrostem dobrobytu, a później często podawano w nadmiarze wszelkiego rodzaju pieczenie. Zamiast śląskich ciast z kruszonką do kawy podawano później różne torty owocowe. Jeśli chodzi o ucztę weselną, to coraz powszechniejsze stawało się spożywanie głównego posiłku zaraz po ceremonii zaślubin, przed pójściem na tańce, a później podawano obfitą ciepłą kolację.

Podobne obserwacje można poczynić w odniesieniu do ubioru. Podczas gdy do pierwszej wojny światowej tylko pan młody nosił ciemny garnitur, później na wiejskim weselu trudno było znaleźć kogokolwiek, nie mówiąc już o drużbach, w ulicznym garniturze. Aż nazbyt zrozumiałe było to, że w trakcie modernizacji chłopska kobieca odzież prawie całkowicie zniknęła w ciągu kilku lat. Tylko nieliczne świadome klasowo wieśniaczki nadal w godny pochwały sposób trzymają się chłopskich strojów i innych zwyczajów. Nawet jeśli opolski strój nie był tak dobrze znany jak ten z Rozbarku lub Bojkowa, to i tak był piękny, a przy tym tańszy i bardziej praktyczny. Jednak wiejska druhna musiała kilka razy przebierać się na weselu, bo droższa suknia materiałowa, którą zakładano do kościoła, w żaden sposób nie nadawała się na bal.

Coś o „sali tanecznej”: Przez długi czas w naszych wioskach nie było prawie żadnych formalnych sal tanecznych. Tańczono przy barze w wiejskiej karczmie. To pomieszczenie od początku było do tego przeznaczone, ale w żadnym wypadku nie było wystarczające. Pod większą część ścian ustawiano proste drewniane ławy, na których siedziały zamężne kobiety. Męski świat tłoczył się przy barze i nieustannie go oblegał, bo karczmarz i jego personel w takie dni jak ten, mogliby użyć dziesięciu rąk zamiast dwóch. Jeśli w wiejskiej karczmie nie było lub było za mało przyległych pokoi, karczmarz udostępniał swoje prywatne mieszkanie młodej parze, ich drużbom oraz szczególnie osobom lub gościom spoza okolicy. Reszta młodzieżowych par często wychodziła podczas przerw tanecznych na zewnątrz.

Biedni muzykanci nie mieli zbyt wiele czasu na złapanie oddechu, ponieważ ciągle zamawiano nowe kawałki do grania. Na szczęście wśród gości często znajdowali się kompetentni zastępcy, więc młodszy muzycy mogli od czasu do czasu zaryzykować trochę tańca. Dopiero w okresie międzywojennym w większości wiosek naszego rodzinnego powiatu Lubliniec–Dobrodzień zbudowano piękne i przestronne sale taneczne, które robiły wrażenie. Młodzież uczyła się tańców bez kursów tanecznych, bo w domu tańczyło się dużo i dobrze. Nie brakowało też muzykantów wiejskich, a autor znał takich, którzy potrafili grać nie tylko na wszystkich instrumentach dętych, ale także na skrzypcach, nawet bez szkoły muzycznej.

Ale wracając do zwyczajów weselnych: Po tym, jak swat wypełnił nad rankiem swoją funkcję, pierwszy drużba był odpowiedzialny za resztę wesela. Wszystko musiało być mu podporządkowane, zwłaszcza na sali tanecznej. Dla panów drużbów sprawą honoru było pokrycie kosztów oprawy muzycznej w celu finansowego odciążenia pana młodego. Zebranie i wpłata kwoty należała do pierwszego drużby. Jedynie jeśli pan młody znajdował się w dobrej sytuacji finansowej i wyraźnie chciał sam ponieść koszty, odstąpiono od pobrania takiego wkładu. Jako wodzirej pierwszy drużba często nie miał łatwego zadania. Zwłaszcza wieczorem, kiedy oprócz oficjalnie zaproszonych gości pojawiała się wielu innych znajomych i sala taneczna była wypełniona po brzegi. Aby zachować porządek i uniknąć kłótni, zarządca musiał mieć autorytet lub umieć go zdobyć, bo nie było sensu polegać na policji ani prosić jej o pomoc, chyba że chciało się zaryzykować przedwczesne zakończenie wesela. Wszystko to wymagało pewnej dyplomacji.

Na koniec coś o lokalnych tańcach. W kółko grano walce, polki i nadreńskie (niemiecki, skandynawski i szwajcarski taniec ludowy, podobny do polki), ale przeplatano też inne tradycyjne tańce ludowe, których nazw już nie pamiętam, a wieczorem były polki z miotłą, polonezy, tańce królików, tańce niedźwiedzi i inne. W przerwach dziewczęta i chłopcy śpiewali stare pieśni ludowe. W żadnym wypadku nie należy zapominać o tańcach solowych na zawołanie. Czasami tańczyć mógł tylko sołtys, potem tylko drużby i ojciec panny młodej, a potem tylko para młoda lub znane osobistości. W żadnym wypadku nie można zapomnieć o kucharkach, które późno w nocy wkraczały na salę taneczną obładowane weselnymi tortami. Najlepsi tancerze byli wy-

starczająco dobrzy, aby zrekompensować tym dzielnym kobietom ciężar i trud całego dnia. Noc trwała więc do wczesnych godzin porannych, a latem był to zwykle długi dzień i syreny w fabrykach i dzwonki we dworach wzywały do pracy, gdy ostatni uczestnicy i muzycy się rozstawali.

Następnego dnia w domu pana młodego odbywały się poprawiny. Brało w nich udział tylko wąskie grono osób, które nieobecne były poprzedniego dnia ze względu na obowiązki. Bardzo piękny zwyczaj zachował się najdłużej w powiecie pszczyńskim. W dniu swojego ślubu o północy, gdy zegar wybił dwunastą, panna młoda wymieniła w sali tanecznej wianek z mirtu – symbolu dziewictwa – na damski czepek. W końcu stąd pochodzi popularne powiedzenie „wejścia pod czepek” („unter die Haube kommen”). Muzyka grała okrągły taniec (taniec w kręgu ze zmianą partnerów), a obecne zamężne kobiety tańczyły co najmniej jedną rundę z byłą panną młodą i tym samym włączały ją do swojego kobiecego kręgu. Po tak długim tańcu młoda kobieta była zmęczona i nowożeńcy zazwyczaj dyskretnie się wycofywali.

Teraz gniazdo rodzinne było gruntownie rozbudowywane i młoda kobieta miała czas dokończyć pieluchę i poduszeczkę, bo takich rzeczy nigdy wcześniej nie kupowano „od ręki”, tylko mozolnie robiono ręcznie. Maszyny do szycia wynaleziono wprawdzie nie tak dawno temu, ale kiedy została wprowadzona, nie dla wszystkich była przystępna.

Ponieważ nie było porodówek, a dostęp do lekarza nie był tak łatwy jak dzisiaj, młoda kobieta z pewnym niepokojem oczekiwała swej pierwszej trudnej godziny. Nie było też przepisów dotyczących urlopów macierzyńskich ani nic w tym rodzaju, a praca w domu, w gospodarstwie i w interesach do ostatniej godziny znacznie ułatwiała poród. Jeśli położna nie mogła przybyć wystarczająco szybko, włączała się kompetentna starsza sąsiadka, a czasami młody obywatel świata rodził się bez pomocy z zewnątrz, bo w prawie wolnej od przemysłu i gęsto zalesionej dzielnicy mieszkalnej człowiek był zdrowy, nieskomplikowany i żyjący zgodniej z prawami natury, niż ma to miejsce dzisiaj.

Kwestię rodziców chrzestnych rozstrzygano zwykle z dużym wyprzedzeniem. Chrzest opóźniano o tydzień lub dwa. Czasami jednak trzeba było czekać trzy tygodnie, bo tyle musiało upłynąć, zanim młoda matka mogła pójść do kościoła „na błogosławieństwo”, a potem, jeśli droga była szczególnie uciążliwa, łączyło się te dwie rzeczy. W przeciwieństwie do tego, kościół w innych miejscach wywierał presję, aby chrzest przeprowadzono jak najszybciej, najpóźniej dwa do trzech dni po urodzeniu. Po przełomie wieków nadawanie imion odbywało się coraz rzadziej według kalendarza ze świętymi. O ile np. w sąsiednim powiecie opolskim funkcjonowały jeszcze dość dziwne imiona biblijne, jak Euzebiusz, Dionizy itp., to w rodzinnym powiecie Lubliniec-Dobrodzień przeważały imiona niemieckie, a także takie, których próżno szukać w kalendarzu.

Wózki dziecięce pojawiły się dopiero na początku stulecia. Do tego czasu zimą wystarczały kołyski. Latem kołyska była prawie zbędna, ponieważ życie toczyło się głównie na zewnątrz. Nie będąc „zatrudnionymi” w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, matki prawie zawsze musiały pracować w ciągu dnia w mniej lub bardziej wiejskich gospodarstwach. Ponieważ niemowlęta były karmione piersią, musiały być w pobliżu. Dlatego zanim pojawiły się wózki dziecięce, każda wiejska rodzina posiadała niezwykle praktyczne urządzenie, które było niezwykle proste, łatwe w obsłudze i niemal niezniszczalne. Konstrukcja składała się z wykonanej z grubego płótna płachty do wysiewu zboża i noszenia trawy, z mocnymi pętlami przyszytymi w czterech rogach i trzema lekkimi tyczkami, długimi na nieco ponad dwa metry, połączonymi na jednym końcu. Te tyczki i płócienną płachtę trzymano pod ręką przez całe lato i używano jako zastępczą kołyskę poprzez ułożenie tyczek połączonych u góry w sposób przypominający piramidę i przymocowanie tkaniny do górnej połowy tyczek za pomocą sznurków. Można było rozstawić tę kołyskę w kilka minut, włożyć do niej dziecko i pozwolić mu spać bez zakłócenia przez mrówki lub podobne stworzenia. Jeśli starsze dzieci były już obecne, ich zadaniem było kołysanie najmniejszych, jeśli to było konieczne. Ta wymienna kołyska była nazywana „hulle”.